

Prawdziwa historia uczestnika najtragiczniejszej wyprawy na Mount Everest i bohatera niezwykłego filmu „Everest”

10 maja 1996 roku, wysoko w Strefie Śmierci na Mount Evereście, w straszliwej burzy śnieżnej zginęło dziewięć osób. Następnego dnia jedna z nich dostała szansę na drugie życie.

Kiedy ratownicy dotarli do Becka Weathersa, uznali, że umiera, i zostawili go bez pomocy.

12 godzin później ślepy, bez rękawic, okryty lodem dotarł jednak do obozu. Przeżył mimo ciężkich odmrożeń i utraty nosa.

Jego książka to wstrząsający pamiętnik ocalałego uczestnika najtragiczniejszej wyprawy na Mount Everest. To także poruszająca opowieść o tym, do czego może być zdolny człowiek, kiedy dostaje od życia drugą szansę.

Gdybyście wiedzieli, że za godzinę umrzecie, o czym byście myśleli? Co zaprzątałyby wasze głowy w tych ostatnich chwilach? Nic dziwnego, że widziałem wtedy przed sobą moją żonę Peach i dwoje moich dzieci. Oczami wyobraźni widziałem ich tak wyraźnie, jakby naprawdę stali tuż obok mnie. (...) Jakaś siła we mnie w ostatniej chwili odrzuciła śmierć i prowadziła mnie, ślepego i ledwie trzymającego się na nogach – byłem prawdziwym żywym trupem – do obozu i do nowego życia.

fragment książki

Film „Everest” w kinach od 18 września 2015

MBP Cieszanów
Everest : na pewną śmierć...



9 788326 0000025973

publio.pl

Patroni medialni

lubimy czytać.pl

wspinanie.pl

BECK WEATHERS
STEPHEN G. MICHAUD

EVEREST
NA PEWNĄ ŚMIERĆ

BECK WEATHERS
STEPHEN G. MICHAUD

EVEREST
NA PEWNĄ ŚMIERĆ

PRAWDZIWA HISTORIA
BOHATERA FILMU
„EVEREST”

Biblioteka
Gazetę
Włoczkę

Nie pamiętam, co dokładnie odpowiedziałem wtedy Terry'emu, ale sprowadzało się to do czegoś w rodzaju: „Jestem ci wdzięczny za to, co mówisz. Ale chcę to zrobić. Jestem do tego przygotowany”. Byłem wzruszony słowami Terry'ego. Większość ludzi nie ma odwagi, by wstać i powiedzieć wprost: „Zrezygnuj ze swojego marzenia. Nikt nie będzie miał ci tego za złe”. Jechałem tam po części dlatego, że musiałem udowodnić coś sobie samemu. Ale wtedy byłem już w sytuacji człowieka, który skoczył w przepaść. W drodze na dół możesz się zastanawiać, czy dobrze zrobiłeś, ale nie ma już drogi powrotu.

25

Kiedy zszedłem z góry, musiałem się najpierw zająć tym, kim jestem i gdzie jestem. Jednym z wielu dziwnych elementów tej historii jest fakt, że nikt – łącznie ze mną – nie wiedział, jak poważne są moje obrażenia. Najpierw nie żyłem. Potem żyłem. Potem równie dobrze mógłbym nie żyć. Potem zdarzyła się kolejna nieprawdopodobna rzecz i przyleciał po mnie Madan K.C. Jeszcze przez wiele tygodni nie miałem pojęcia, jak właściwie wygląda stan mojego zdrowia. Wcześniej widziałem tylko zdjęcia odmrożeń przedstawiające straszliwie opuchnięte, pokryte pęcherzami dłonie. Gdy znalazłem się w klinice w Katmandu, moje dłonie były zimne i przypominały kawałki szarego mięsa pozostawionego na kilka lat w przeciekającej torebce na mrożonki. Nie spuchły jednak, nie zmieniły dramatycznie barwy ani nie pokryły się pęcherzami. Przekonałem się, jak bardzo może boleć odmrożenie, gdy zmroziłem sobie czubki palców na Denali. Teraz w ogóle nie czułem bólu.

Nie licząc bólu duszy. Czułem się upokorzony, odkrywszy, że przed drzwiami mojego pokoju w Yak & Yeti postawiono chłopca, który w razie potrzeby miał mnie podcierać. Wolałbym nie jeść przez tydzień, niż dopuścić do czegoś takiego. Na szczęście pojawił się Dan. Poszliśmy coś zjeść.

Znaleźliśmy miłą restauracyjkę w hotelu, w pięknej scenarii, a ja natychmiast uświadomiłem sobie, że nie wiedzą, co ze mną zrobić. Jak mieli mnie obsłużyć? Musiałem znaleźć w menu coś, co można jeść łyżką, a i tak Dan musiał mnie karmić. Nie byłem tym zachwycony.

Potem doszły do tego reakcje innych ludzi: nepalskiego urzędnika, który przyglądał mi się badawczo, sprzątaczkę, która na mój widok wypuściła z ręki mop. Zaczynałem rozumieć, jak to jest być dziwadłem. Nadal jednak nie zdawałam sobie sprawy z rozmiarów katastrofy.

Po powrocie do Dallas, gdzie Terry White zajął się moim zdrowiem, umówiono mnie na wizytę do chirurga ręki Mike'a Doyle'a. Poprosił, bym rozcapierzył palce obu dłoni, zacisnął je w pięści, a potem przełożył jeden palec nad drugim. Mogłem zrobić to wszystko. Mike powiedział: „Prawdopodobnie stracisz większość palców prawej dłoni i czubki palców lewej. Musimy zrobić USG, zobaczymy wtedy, co dzieje się z naczynkami”. Zadzwoił do mnie później tego samego dnia. Słyszałem, że jest poruszony. „Nie wiem, jak ci to powiedzieć” – zaczął. „Ale do twojej prawej dłoni w ogóle nie doptywa krew. Zatrzymuje się nad nadgarstkiem. Masz też bardzo mało krwi w lewej dłoni. Przykro mi”. Odmrożenia były tak głębokie, że w uszkodzonych miejscach w ogóle nie działały naczynia krwionośne. Moje dłonie nie puchły ani nie pokrywały się pęcherzami, bo były martwe. To było straszne odkrycie. Właściwie zamiast dłoni miałem dwie kukielki. Wciąż mogłem nimi poruszać (do czasu), bo kierujące nimi ścięgna sięgały przedramion, ale właściwie mogłem się już z nimi pożegnać. Mój syn i jego przyjaciel Charles

White przerobili trochę pilot do telewizora i przykleili do guzików małe drewniane łopatkę, żebym mógł je przyciskać. Ten gest bardzo mnie wzruszył i przygnębił zarazem.

Nasza przyjaciółka Yolanda Brooks, niezwykle rzutka osoba, doradza firmom, jak wprowadzać w ich budynkach udogodnienia dla niepełnosprawnych. Przyniosła mi książki z opisami różnego rodzaju urządzeń umożliwiających proste na pozór czynności, jak choćby pisanie na maszynie. Każda ze stron była świadectwem mojego kalectwa, udawniała, że nie potrafię zadbać sam o siebie.

Zdarzały się też sytuacje makabrycznie zabawne. Pamiętam, jak siedziałem sobie spokojnie na krześle, gdy nagle spadł mi na rękę spory kawałek brwi, łącznie z włosami. Później, gdy szedłem przez korytarz, od mojej lewej stopy oderwał się duży palec, który przeturlał się po podłodze i zatrzymał pod ścianą. Ciekawe było również zachowanie naszych lamp, które włączają się i wyłączają w reakcji na ludzki dotyk. Kiedy ja dotykałem ich moimi martwymi rękami, nic się nie działo.

Oczywiście sprawdzałem, czy nie da się zrobić czegoś, co przywróciłoby mi ręce. Dwa razy dziennie siedem dni w tygodniu chodziłem na hydroterapię. Wykonywałem wszystkie ćwiczenia. Ale nadal poruszałem jedynie martwymi kukielkami. Obserwowałem, jak z dnia na dzień moje palce zamieniają się, jeden po drugim, w zimny kamień. Najpierw mogłem je normalnie zginać. Potem tylko do połowy. Jeszcze później mogłem nimi tylko lekko poruszać. Aż w końcu – nic. Widziałem, jak stopniowo nieruchomieją, zaczynają się kurczyć i mumifikować.

Na moich nadgarstkach zaznaczyła się wyraźnie linia podziału między martwą i żywą tkanką, gdy mój organizm próbował się pozbyć nieużytecznych części. Może to zrobić w przypadku czegoś tak małego jak palec u ręki lub nogi. Jednak w przypadku całej ręki czy nogi konieczna jest już amputacja. Na Evereście zamarzł mi też nos, który potem także odpadł. Ale w tym momencie nie przejmowałem się ani trochę swoją twarzą. Doszedłem do wniosku, że w najgorszym wypadku będę po prostu nieprawdopodobnie brzydki. Nie podobało mi się wcale to, że muszę wieszać sobie kawałek wieprzowiny na szyi, żeby pies zechciał się ze mną bawić. Jednak utrata dłoni była znacznie poważniejszym zmartwieniem.

Pewnego razu odwiedził mnie mój brat Kit, poszliśmy razem na sesję hydroterapii. „Co ty na to, żebyśmy gdzieś załatwili sztuczną rękę, pomalowali ją na czarno i wrzucili do wody? Wtedy ty wsadziłbyś dłoń pod pachę i krzyczał: Odpadła mi ręka!”. Uznałem, że to bardzo zabawny pomysł i pewnie bym go zrealizował, gdyby Kit znalazł w porę sztuczną rękę.

W tym samym okresie starałem się zachować jak największą niezależność, choć chcąc nie chcąc, musiałem się poddać realiom i przyznać, że w wielu sprawach jestem po prostu bezradny. Nie podobało mi się wcale, że Dan musiał podcierać mi w Nepalu tyłek, ale czułem się jeszcze gorzej, gdy ten obowiązek przejęła Peach. Ona także pomagała mi brać prysznic.

Tylko raz spróbowałem się wykapać. Wszystko szło gładko do momentu, gdy chciałem wyjść i uświadomiłem

sobie, że jestem zbyt słaby, by to zrobić. Myślałem przez chwilę, że będziemy musieli wypuścić wodę z wanny i zadzwonić po kogoś z przyjaciół, by pomógł mi się z niej wydostać. W końcu jednak udało mi się stanąć prosto. Potem, gdy myłem głowę, stawiałem sobie przy zlewie kuchennym stołek, żeby wdrapać się na blat i położyć na nim. Wtedy miałem przynajmniej pewność, że w najgorszym wypadku będę mógł stoczyć się z blatu na podłogę.

PEACH: Nigdy nie narzekałam, ale często zdarzały się w tym okresie sytuacje, gdy w powietrzu wisiało niewypowiedziane głośno: „A nie mówiłam”.

Miałem żal do samego siebie. Ale nie o samą wyprawę na Everest. Choć brzmi to dziwnie, znajdowałem jakąś pociechę w fakcie, że omal nie zginąłem w tym słynnym miejscu. Było mi dzięki temu łatwiej. Śmierć na Evereście to coś innego niż wypadek w fabryce czy przypadkowe porażenie prądem. Przeżyłem, a to było coś. Niektórym się to nie udało. Świadomość tego pomaga walczyć dalej. Wysłuchawszy mojej historii, pewien słynny amerykański astronauta powiedział mi: „Miałeś chyba wtedy podkowę w dupie”. Tak, wiem o tym.

Gdy moje dłonie były jeszcze owinięte bandażami, zaangażowałem się w pomoc w realizacji filmu IMAX o naszej ekspedycji, co również miało działanie terapeutyczne. Dzięki temu nie siedziałem tylko w domu i nie wpatrywałem się w ścianę. Jednak czasem prawda o mojej sytuacji docierała do mnie w zaskakujący sposób. Kiedyś

urządziliśmy przyjęcie dla Meggie w salonie gier komputerowych niedaleko naszego domu. Odbywało się tam też przyjęcie dla młodszych dzieci, siedmio- lub ośmiolatek. Kiedy te maluchy przebiegały obok nas, na mój widok zatrzymywały się w pół kroku, jak rażone piorunem. Każdy taki incydent uświadamiał mi, jak bardzo się zmieniłem i jak bardzo różnię się od innych.

Jedynym źródłem fizycznego bólu, jaki odczuwałem w tym czasie, była infekcja prawej ręki. Spuchła i poczerwieniała, widać było, jak każdego dnia zakażenie przesuwa się w górę ramienia. Dopiero po kilku próbach znaleźliśmy antybiotyki, który to zatrzymał. Ze względu na różnego rodzaju infekcje zażywałem antybiotyki niemal bez ustanku przez ponad rok. Gdy tylko próbowałem z nich zrezygnować, znów zaczynałem gdzieś ropic i musiałem wracać do leków. Jednak prawdziwe cierpienie dopiero miało się zacząć.

Żartowaliśmy później, że w ciągu następnego roku przeszedłem tyle operacji (w sumie jednaście), że lekarzom nie chciało się mnie zszywać, więc w miejsce szwów wstawili zamki błyskawiczne. Właściwie było w tym ziarno prawdy. Okazało się, że mam alergię na taśmę chirurgiczną, która co jakiś czas pokrywała niemal wszystkie części mojego ciała, więc gdy uszkodzone obszary były po kawałku zszywane, przecinane i naprawiane, zdrowa dotąd skóra łuszczyła się i swędziała pod bandażami.

Mike Doyle wyszukał świetnego chirurga rekonstrukcyjnego Grega Anigiana, który miał operować moją lewą dłoń

i uratować z niej wszystko, co dało się jeszcze uratować. Później Greg odtworzył również mój zniszczony nos. Specjaliści chirurgii rekonstrukcyjnej zasadniczo różnią się od swoich kolegów po fachu, czyli chirurgów plastycznych. Ich praca nie służy zaspokajaniu próżności. Robią rzeczy naprawdę bardzo ważne i są w tym mistrzami. Ci najlepsi, do których zaliczam także Grega, mogliby z powodzeniem zszyć z sobą dowolne części wszelkich istot żywych i martwych.

Uzgodniliśmy, że na czas operacji poddam się znieczuleniu ogólnemu, a Doyle i Anigian będą mnie przez szesnaście godzin ciąć i zszywać. Zadanie Mike'a było stosunkowo proste. Gdyby z mojego prawego nadgarstka dało się coś jeszcze uratować, moglibyśmy później uzupełnić go o jakąś zaawansowaną protezę albo zachować jak najwięcej tkanki na przyszłość, gdy rozwój nauki da nam dostęp do zaawansowanej biotechnologii. Jednak ponieważ żadna z części tego nadgarstka nie nadawała się już do użytku, decyzja była prosta: tniemy prawe przedramię tak, by można było na nie założyć zwykłą protezę, taką jaką noszę teraz. Nazywałem to dziewiętnastowieczną częścią mojej operacji. Właściwie była to amputacja rodem z pola bitwy. Druga część należała już do dwudziestego pierwszego wieku: była wieloetapowa, skomplikowana i czasochłonna, a przy tym ryzykowna. Greg Anigian miał wykonywać mikrooperacje i majstrować przy maleńkich naczyniach. Największe problemy mogły tu sprawić zakrzepica i jeszcze większa ilość martwej tkanki. Nie chciałem jednak zostać bez obu dłoni.

Jedną z pierwszych rzeczy, które zauważyłem po wybudzeniu się z narkozy, był detektor tętna płodu – zwykle

przykłada się takie urządzenia do brzucha ciężarnej kobiety – który podłączono do mojej ręki, by obserwować krążenie krwi. Anigian uratował większość mojej lewej dłoni i kawałek kciuka. Do rekonstrukcji używał powięzi z lewej strony mojej głowy, fragmentu lewego mięśnia najszerszego grzbietu oraz sporego pasa skóry z mojego lewego boku. Owinął tkanką mięśniową mój kikut i podłączył ją do tętnicy promieniowej. Potem okręcił powięź wokół kciuka i również przyszył ją do tętnicy. Na koniec okrył to wszystko skórą z mojego boku, tworząc coś w rodzaju łapy lub rękawicy.

DAN: Czekałem w sali pooperacyjnej, aż Beck dojdzie do siebie. Przeszedł ekstubację, to znaczy wyjęto mu z tchawicy rurkę ułatwiającą oddychanie. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek wcześniej widział kogoś dotkniętego takim cierpieniem. Drżał na całym ciele. Choć wciąż był oszołomiony, odczuwał straszliwy ból.

Nadal był z nim anestezjolog, który postanowił podać Beckowi więcej morfiny. Problem polegał na tym, że nawet mała dawka w połączeniu z tym, co dostał już wcześniej, mogła sprawić, że Beck nie będzie w stanie oddychać o własnych siłach. Podszedłem do wezłowania łóżka, by popracować workiem Ambu, czyli resuscytatorem, który pozwala mechanicznie wspomagać oddychanie pacjenta, wtłaczając powietrze do jego płuc. Robiłem to przynajmniej przez pół godziny. Wybudziłem się z narkozy cały rozedrgany. Ból był straszliwy, obejmował całe ciało. Zwykle dotknięcie odczuwałem

tak, jakby ktoś porządnie przyłożył mi drewnianą belkę. To przypominało napad jakichś straszliwych wstrząsów, ale niewywołanych przez mózg. Prawdopodobnie moje mięśnie się zbuntowały. Wyobraźcie sobie, że macie drgawki, ale wasze mięśnie są maksymalnie naprężone. Wszystko odczuwa się wtedy z największą możliwą intensywnością.

BUB: Nie licząc wyglądu, tata radził sobie całkiem dobrze po powrocie z Everestu. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo ucierpiał, dopóki nie amputowano mu ręki i palców u drugiej dłoni. Byłem w sali pooperacyjnej, widziałem, jak podnosi głowę i próbuje się rozejrzeć dookoła. Trząś się cały z wysiłku. Nagle dotarło do mnie, że musi odczuwać straszliwy ból.

Ta część mojego boku, z której pobrano skórę na przeszczep, została przykryta opatrunkiem zamkniętym, to znaczy szczelną błoną o elastycznych krawędziach. Jeśli pacjent ma szczęście, opatrunek tkwi na swoim miejscu, hermetycznie zamknięty i sterylny, a rana szybko się goi. Jeśli jednak coś się przesunie, jak w moim przypadku, a do skóry dostanie się powietrze, rzecz wygląda nieciekawie. Odślonięta część rany, o całkiem sporej powierzchni, została natychmiast skolonizowana przez odpornego na leki gronkowca. Infekcja była bolesna i odrażająca. Zaczęła ze mnie wyciekać paskudna breja. Cały mój lewy bok pod opatrunkiem przybrał zielono-żółtą barwę. Na domiar złego ropa i bakterie paskudnie śmierdziały. Wszyscy uciekali z mojej sali, powstrzymując

odruch wymiotny. Założono mi sączonek, który miałem jakieś sześć do ośmiu tygodni.

Tymczasem gwałtowna, obejmująca całe ciało reakcja synaps mięśniowych powoli zanikała, aż odczuwałem ją tylko w amputowanych miejscach. Przecięte nerwy jeszcze przez długi czas dawały o sobie znać. Dokuczały mi przez cały rok, nie dając ani chwili wytchnienia. Czułem się tak, jakby ktoś bez ustanku uderzał mnie w czułe miejsce. Dotkliwy, przytłaczający ból sięgał w górę okaleczonych rąk.

Gdy w końcu to doznanie ustąpiło, pojawiło się nowe – uczucie fizycznej izolacji. Najgorszą konsekwencją amputacji dłoni jest utrata ogromnej ilości wrażeń zmysłowych. Czterdzieści procent bodźców dotykowych dociera do nas właśnie przez dłonie. To bardzo ważne narzędzia do wprowadzania danych. Ich brak powoduje istotne i oczywiste problemy. Nie można chwycić przedmiotów ani nimi manipulować. Pamiętacie moją naukę żonglowania? Nie wiele moich rzeczy ocalało z Everestu, ale gdy w końcu dotarły do Dallas, znalazły się wśród nich trzy małe piłki i podręcznik żonglowania. Nie mogłem się z tego nie śmiać.

Oczywiście dogłębnie przeanalizowałem moją nową sytuację i dowiedziałem się, że istnieje znacząca różnica między osobami pozbawionymi rąk w wyniku amputacji, jak ja, a takimi, które urodziły się z takim upośledzeniem. Zwykle te drugie zadziwiająco dobrze odnajdują się w trudnych okolicznościach. Potrafią na przykład nadzwyczaj sprawnie poruszać stopami – mogą nimi zrobić niemal wszystko to, co ludzie robią dłońmi. Problem pojawia się w chwili, gdy dopada ich artretyzm. Tracą sprawność albo

mają problemy z kręgosłupem, nie sięgają już stopami tam, gdzie to potrzebne.

Dla mnie najgorsza jest właśnie zmysłowa izolacja. Jestem jej nieustannie świadom. Na szczęście zachowałem nietkniętą dłoń lewej ręki. Jedną z moich największych zmysłowych przyjemności jest dotyk sierści Missy, gdy ją głaszczę. To kojące, a zarazem, w pewnym sensie, wzruszające. Missy jest nieodłączną częścią mojego życia po Evereście.

Innym zaskakującym elementem tego nowego świata są moje sny. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu po operacjach stały się nieprawdopodobnie sugestywne. Wyraźnie czuję w nich teraz zapachy i smaki. Wszystko jest niezwykle barwne. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Jednocześnie jestem w pełni świadomy, że śnię. Jadę na przykład rowem po wiejskiej drodze i patrzę w dół, na moje dłonie, które operują przerzutkami i hamulcami. Nie wychodzę poza siebie. Jestem cały czas w swoim ciele i czerpię z tego dużą przyjemność. Oznacza to, że przez jedną trzecią doby czy też przez czas, w którym śnię, nie jestem niczym ograniczony ani okaleczony. Biegnę lekko niczym dziesięciolatek, bezboleśnie. Nigdy się nie męczę. Jestem wirtualnym Beckiem. Owszem, czasem zdarza się, że nie mam w snach dłoni, jednak gdy je widzę i czuję, jestem tego w pełni świadom. „Ha! Ja śnię! Widzisz? Mam ręce”.

Greg Anigian dokonał jeszcze dwóch operacji na mojej nowej łapie, by nieco ją usprawnić i nadać jej zgrabniejszy kształt. Najpierw naciął głębiej tkankę między kciukiem i resztą dłoni, upodabniając ją do rękawicy. Potrzebował do tego

dodatkowego kawałka skóry, którą pobrał z mojego krocza – nie zapytawszy mnie o zdanie. Wybudziłem się po operacji, zobaczyłem nacięcie na podbrzuszu i wykrzyknąłem: „Boże, czy nie ma już żadnej świętości?”. Potem przyszła kolej na ostatnie już nacięcie, dzięki któremu moja łapa wyglądała jak niekształtna lilia. Tym razem ponownie pobrano mi skórę z lewego boku. Dokonałem wówczas dokładnego przeglądu mojego ciała, sprawdzając, gdzie jeszcze nie byłem operowany. Właściwie takich miejsc było już niewiele. Ostatecznie nietknięte zostało tylko prawe udo. Nikt nie wbijał w nie igły ani go nie nacinał. Przyznam, że nieco mnie to zaniepokoiło. Zastanawiałem się, na co zachowali ten zapas.

Ostatnim elementem mojego ciała, który stał się przedmiotem operacji, był nos. Uległ na Evereście głębokiemu odmrożeniu, sięgającemu chrząstki i kości. Niewiele dało się uratować. Jednak przed wycięciem martwej tkanki lekarze pobrali odcisk oryginału, używając do tego opakowania po gumie do żucia. Greg Anigian zamierzał go potem wykorzystać do odtworzenia nosa w jego pierwotnym kształcie. W międzyczasie musieliśmy znaleźć sposób na nawilżanie wewnętrznych przewodów nosowych. Rozwiązaniem okazała się woda w spreju. Ja jednak nie miałem przecież rąk, zgadnijcie więc, kto musiał dbać o zachowanie odpowiedniego poziomu wilgotności tej małej orchidei? Kolejne pouczające doświadczenie.

Wyhodowali mi nowy nos. Najpierw wycięli fragment skóry o odpowiednim kształcie z mojego czoła. Potem, używając kawałków chrząstki z uszu oraz skóry z szyi, uformowali nowe nozdrza i poczekali, aż całość, ułożona

do góry nogami, wyrośnie mi na czole. Uważałem, żeby dzieciaki nie zrobiły mi ukradkiem zdjęć i nie sprzedały ich potem do gazet. Odkryłem również, że ta niezwykła deformacja to doskonale narzędzie weryfikacji moich przyjaciół. Ci prawdziwi zaśmiewali się ze mnie do rozpuku. Pozostali byli tylko uprzejmi.

Musieliśmy cierpliwie czekać, aż mój nowy nos będzie w pełni unaczyniony. Greg umówił mnie raz na operację, którą potem odwołał, uznawszy, że jest jeszcze za wcześnie. Gdy w końcu nadeszła właściwa pora, wyciął nowy nos, obrócił go na kawałku skóry i przyszył we właściwym miejscu. Potem zoperowali mi rozcięte czoło. Na tym etapie przypominałem do złudzenia mopsa z okrągłym nosem pod małym fałdem skóry. Ostatnim etapem było pobranie fragmentu żebra z prawego boku i przymocowanie go między nosem i podniebieniem, co miało usztywnić całość i nadać jej odpowiedni kształt. Uważam, że nowy nos w dużym stopniu przypomina swój pierwowzór i jestem z niego naprawdę zadowolony. Mam tylko jedno zastrzeżenie. Ponieważ przy przenoszeniu skóry z górnej części twarzy na jej środek nerwy pozostały nienaruszone, za każdym razem gdy biorę prysznic, a woda spływa mi po czole, swędzi mnie nos.

PEACH: Beck i ja właściwie nie komunikowaliśmy się ze sobą w tym czasie, rozmawialiśmy jedynie o kwestiach praktycznych, takich jak jego zdrowie. Nie mieliśmy czasu na nic innego. Ja byłam zbyt zmęczona i zestresowana, a on zbyt chory. Wiedziałam tylko tyle, że nie zamierzałam zabrać ze sobą dzieci i wyjść z domu czy też wysłać Becka

do jakiegoś domu dla rekonwalescentów. Przynajmniej nie od razu. Zauważyłam, że się zmienił, po części. Najpierw był ten zadziwiający telefon z gabinetu doktora Schlima. Wyciągał do mnie rękę, a wkrótce zrozumiałam dlaczego – za sprawą epifanii na górze. Wydawało się też, że szczerze żałuje wszystkich cierpień, których mi przysporzył. Co więcej, miałam wrażenie, że Beck widzi mnie i dzieci w nowym świetle – może w tym samym świetle, które obudziło go na Evereście. W tym czasie nie mógłby uciec, nawet gdyby chciał, ale wyglądało na to, że nie chce. Jednak w ciągu minionych ośmiu czy dziewięciu lat narastał we mnie głęboki żal i wiedziałam, że będzie mi bardzo trudno znów mu ufać – jeśli w ogóle kiedyś się na to zdobędę. Beck przysięgał, że jest nowym człowiekiem, ale to tylko słowa. Choć wtedy o tym nie mówiłam ani nawet nie myślałam, musiał dowieść swojej przemiany. Konieczne były realne działania. Jeśli rzeczywiście mieliśmy odmienić nasze życie, nie mógł to być powolny, łagodny proces, lecz gwałtowny nawrót.

Katalizatorem tych zmian był mój brat Howie, jak zawsze pozbawiony uprzedzeń, pełen nieprawdopodobnej empatii. Pewnego razu, gdy byliśmy wszyscy na Jamajce, poznał jakiegoś miejscowego biedaczynę o imieniu Hedley, z którym wkrótce się zaprzyjaźnił. Nieważne, że Hedley był narkomanem i że ochrona nie wpuszczała go do hotelu – Howard stał się jego dobrym kumplem. Hedleyowi bez wątpienia chodziło głównie o parę dolców, przynajmniej na początku, ale musiał dostrzec dobroć Howiego. Mój brat powierzył mu nawet swoją kartę kredytową i nie zawiódł się.

Howard przyleciał do Dallas w czarnym, pogrzebowym garniturze, gdy tylko zadzwoniłam do niego z wiadomością o śmierci Becka. Dotarł na miejsce wkrótce po tym, gdy dowiedzieliśmy się, że Beck jednak żyje. Zabierał dzieci na hamburgery i dbał o wszystko, dopóki nie nabrał pewności, że przyjaciele zapewniają nam odpowiednie wsparcie. Potem rzucił jakiś żarcik o tym, że nie lubi tłumów, i poleciał do domu, do swojej żony i córki.

Pozostawaliśmy w bliskim kontakcie przez cały okres medycznego kryzysu Becka, trwający do sierpnia 1996 roku, gdy mój mąż wreszcie doszedł do siebie na tyle, że mogliśmy zaplanować krótki rodzinny wyjazd. Doktor Anigian przełożył kolejny zabieg lewej ręki Becka o trzy dni i wszyscy poleciliśmy na wyspę Fripp położoną u wybrzeży Karoliny Południowej, gdzie dołączyli do nas Howie, Pat i ich córka Laura. Następnego dnia Howard poważnie zachorował. Pamiętam, jak wrócił z plaży i powiedział: „Czuję się naprawdę okropnie”. Jego skóra była biała jak kreda. Narzekał na ból w piersiach. W naszej rodzinie wiele osób chorowało na serce. Howie miał nadwagę i palił przez większość życia. Beck i ja byliśmy przekonani, że to zawał.

Howard podszedł do mnie z grymasem bólu na twarzy. Obficie się pocił. Nawet moje stare podręczniki medycyny opisałyby to jako klasyczne objawy ataku serca. Pomyślałam: „Howie, nie możesz mi tu umrzeć. Jeśli to zrobisz, wejdę w morze i będę tak szedł do samego końca”.

PEACH: Zawieźliśmy go do pobliskiego szpitala, gdzie lekarze również podejrzewali, że ma zawał. Jednak gdy w ramach rutynowych badań zrobili mu USG, odkryli narośl na wątrobie. Następnego dnia przeprowadzili tomografię i okazało się, że ma guza, raka wątrobowokórkowego. To był duży i paskudny nowotwór, który rozrastał się jak chwast. Zareagowałam na tę wiadomość podobnie jak wtedy, gdy poinformowano mnie, że Beck zamarzył na zboczu Everestu. Popadłam w otępienie. Nie mogłam tego zaakceptować. W tamtym czasie nie byłam w stanie wziąć na siebie jeszcze większego bólu.

Od razu wiedziałem, jakie są rokowania Howarda. Chciałem mu powiedzieć, że umieranie nie jest takie trudne. Raz już to robiłem. Wiedziałem coś na ten temat. I wiedziałem, że dla mnie drugi raz będzie o wiele łatwiejszy. Strach jest znacznie gorszy od rzeczywistości. Gdyby umieranie rzeczywiście było takie trudne, w zachodnim Teksasie na pewno znalazłby się jakiś matolek, który za nic nie mógłby tego zrozumieć i w rezultacie stałby się nieśmiertelny. Nigdy nie udało mi się powiedzieć Howardowi tego wszystkiego. Niemniej jednak zniósł swoją śmierć z dużą godnością.

PEACH: W przypadku Becka organizowaliśmy ratunek, nie zdając sobie sprawy, że jest to prawie niemożliwe. Teraz znów chciałam cudu, drugiej mobilizacji. I taka mobilizacja nastąpiła. Tym razem jednak miłość i nadzieja nie wystarczyły do uratowania Howiego. Ocalałam jednak ja

i moja rodzina, w zupełnie nieprzewidziany sposób. Ku mojemu zdumieniu Beck się zaangażował.

Oczywiście po Evereście chciałem odbyć jakąś pokutę, ale moja reakcja na potrzeby Howiego nie była wcale aktem ekspiacji. Przede wszystkim go kochałem. To było najważniejsze. Zadawałem sobie wcześniej pytanie, kogo Kocham, i zrozumiałem, że to moja rodzina, ludzie, którzy nadają sens mojej egzystencji. Teraz, gdy nie kryłem się już za swoimi planami, taka reakcja była rzeczą naturalną. Poza tym zaangażowałem się w ratowanie Howarda, bo naprawdę próbowałem zrozumieć, jak mogę się stać innym człowiekiem. Peach i dzieci zawsze były dla mnie ważne, ale dotąd nie zachowywałem się tak, jakbym rzeczywiście tak myślał. Gdyby choroba Howiego wydarzyła się przed Everestem, pewnie bardzo bym mu współczuł, ale zostawiłbym wszystko na głowie Peach. Teraz zająłem się tym bez zastanowienia. Nie chciałem stać z boku i się przyglądać. Nie chciałem być obojętny.

PEACH: Zaczęło się w chwili, gdy Howie poczuł się źle na plaży. Beck siedział przy nim, rozmawiali. Potem zabrał się do działania. Dawniej powiedziałby pewnie: „Nie mogę tego zrobić. Nie mam czasu”. Teraz zachowywał się tak, jakby chciał powiedzieć: „Jestem w twojej drużynie”.

Howie był w fatalnym stanie. Miał okropnego guza i masę problemów z firmą, która miała mu zapewnić opiekę medyczną, Kaiser Permanente. Wiedziałem, że szanse na

uratowanie Howiego są niewielkie, ale wiedziałem również, że jeśli nie będziemy działać szybko, te szanse zmaleją do zera. Jeśli ktoś w ogóle mógł mu pomóc w takiej sytuacji, to właśnie ja. Przynajmniej tak wtedy myślałem. W rzeczywistości byłem zupełnie bezsilny. To mnie strasznie frustrowało. Nie mogłem sprawić, by firma choć trochę przejęła się Howardem. Dzwoniłem do szefa Kaiser Permanente dziesiątki razy. Zawsze na drodze stawał mi jego sekretarz. Nie odpowiadał na moje pytania, nie dzwonił. Gdy w końcu udało mi się go dopaść, mówił: „Słucham pana. Rozumiem pana. Wiem, kim pan jest. W czym mogę panu pomóc?”. Oczywiście niczego nie zamierzał zrobić. Powtarzał wyuczone formułki. Pytałem: „Czy może pan poprosić kogoś, kto ma w waszej firmie rzeczywistą władzę, żeby do mnie oddzwonił?”. A on tylko powtarzał: „W czym mogę panu pomóc?”.

Dzwoniłem i dzwoniłem, i dzwoniłem. Myślałem: co za prostaki! Nigdy nie spotkałem się z takim brakiem wrażliwości, z takim grubiaństwem. Tutaj umiera człowiek, a oni nie potrafią do mnie oddzwonić.

PEACH: Beck nigdy wcześniej nie zorganizował wizyty u lekarza dla mnie czy dla dzieci. Ale w przypadku Howiego stał się wręcz agresywny. Pamiętam, jak kogoś opieprzał. Nazywał go sknerą i zarzucał mu obojętność.

Jedną z pierwszych rzeczy, które braliśmy z Terryem White'em pod uwagę, był przeszczep. Onkolog z Kaiser nawet nie obejrzał zdjęć Howiego. Nie zrobił nic. Wszedł do sali,

spojrzał na dokumentację i powiedział: „Och, ma pan raka wątrobokomórkowego. Ponad pięć centymetrów. Nie robimy przeszczepów, gdy guz ma więcej niż pięć centymetrów”. W istocie znaczyło to tyle co: „Umrze pan. Mógłbym pana leczyć, ale to by niczego nie zmieniło, bo i tak pan umrze”. Kaiser zwodził Howiego przez kilka miesięcy i uważam, że miało to duży wpływ na jakość opieki medycznej, jaką otrzymywał. Nie wiem jednak, czy wpłynęło to na wynik leczenia.

PEACH: Odbierałam to, co robił Beck, jako dowód jego miłości do mnie i rodziny...

Chciałem dowiedzieć, że nadal mogę mieć pozytywny wpływ na nasze życie.

PEACH: ...ale wiele razy miałam ochotę skopać mu tyłek. Powtarzali z Terryem: „Nic więcej nie da się zrobić”. Odpowiadałam: „Nie mówcie mi, że nic nie da się zrobić. Mieszkam z trupem, pamiętacie?”.

Nie będę kwestionował tego wspomnienia. Faktem jest, że ciężko pracowaliśmy z Terryem, szukając alternatywnych rozwiązań. Nie poddawaliśmy się, mimo że prawdopodobieństwo sukcesu było niewielkie – ja przecież umarłem na Evereście – bo „nie dowiesz się, póki nie spróbujesz”. Peach i ja zapłacilibyśmy za przeszczep: po prostu było na to za mało czasu. Innym rozwiązaniem była resekcja. Zbadaliśmy dokładnie i taki scenariusz. Musiałaby to być ogromna operacja i w końcu doszliśmy do wniosku, że to

miał czas, by pożegnać się z Howardem, by powiedzieć mu, jak wiele dla nas znaczy. Ja mogłem mu podziękować za wszystkie te okazje, kiedy mnie zastępował, gdy był dla moich dzieci ojcem, którym ja sam chciałem być, ale nie potrafiłem. Powiedziałem mu, że go kocham. Objąłem go i pocałowałem w czoło. Podobno ludzie bliscy śmierci potrafią trzymać się życia wyłącznie siłą woli, jeśli zostało im coś ważnego do zrobienia. Wierzę w to. Howard trzymał się życia, czekając na Peach, a teraz był już gotów. Widzieliśmy, jak poddaje się zmęczeniu. Zamknął oczy, stracił przytomność. Zaczął jeszcze ciężiej, nieregularnie oddychać. Potem odszedł.

Peach i ja opuściliśmy szpital o czwartej nad ranem i poszliśmy do hotelu. Przez wszystkie te lata spędzone w górach nigdy nie czułem równie dojmującego chłodu. Tego samego ranka poleciliśmy z powrotem do Dallas. Miałem miejsce przy oknie. Peach siedziała obok mnie, opierała głowę na moim ramieniu, trzymała rękę na mojej dłoni. Gdy samolot leciał na południe, w blasku porannego słońca rzeki i jeziora w dole lśniły jasno, złocisty blask nabierał srebrzystych odcieni. Zobaczyłem iskierkę, która wyglądała, jakby tańczyła na wodzie, a potem uniosła się w naszym kierunku. Poczułem, jak policzek Peach przywiera do mojego policzka, gdy oboje patrzyliśmy za okno. „Wiesz, co to jest?“, spytałem. „Tak, to Howard“, odparła. Pomyślałem dokładnie to samo. Widziałem w tym świetle Howarda, który spełniał swój ostatni ojcowski uczynek, bezpiecznie odprowadzał ukochaną siostrzyczkę do domu.

Po powrocie do Dallas Peach poprosiła mnie, bym wygłosił mowę pożegnalną na pogrzebie Howarda, który miał się odbyć w Atlancie. Choć zawsze mam dużo do powiedzenia, nie chciałem tego zrobić. Kochałem Howarda tak bardzo, że nie sądziłem, bym zdołał zapanować nad emocjami podczas tej przemowy. Ale wiedziałem też, że jest to coś, co muszę zrobić.

PEACH: Większość ludzi, którzy przyszli do naszego domu w tamten majowy weekend 1996 roku, kiedy Beck był na Evereście, przysłała również kwiaty na pogrzeb Howarda, osiem miesięcy później. Nie wiem, czy chcieli w ten sposób okazać coś więcej niż miłość i szacunek dla zmarłego. Jednak wtedy, gdy odczytywaliśmy ich nazwiska na kartkach z kondolencjami, gdy patrzyliśmy na te piękne bukiety i wieńce, mieliśmy wrażenie, że ci sami przyjaciele ponownie biorą nas objęcia, wspierają swoją siłą.

Ból, który czułam na pogrzebie Howiego, stał się jeszcze silniejszy, gdy uświadomiłam sobie, że mój brat wspierał mnie w każdym ważnym momencie mojego życia. Potem robił to samo dla moich dzieci. Przyjechał nawet na uroczystość wręczenia dyplomów w moim college'u, której ja nie traktowałam ze szczególnym wzruszeniem. W tym czasie Laura nie miała jeszcze nawet dwóch lat, a mimo to Howie i Pat jechali przez kilka godzin, by zobaczyć, jak obieram świadectwo ukończenia studiów.

Howie traktował poważnie nie tylko duże czy znaczące uroczystości. Kiedyś, gdy Bub chodził do drugiej klasy, obiecał mu, że przyjdzie na jego prezentację. Pogoda w Dallas

zacząła się gwałtownie pogarszać, a Howie musiał być następnego dnia w Kalifornii na jakimś ważnym spotkaniu. Nie wyjechał jednak, dopóki nie dotrzymał słowa danego Bubiowi i nie poszedł na tę prezentację. Howie po prostu rozumiał lepiej niż większość z nas znaczenie codziennych czynności, zwyczajów i tradycji, a nie tylko wielkich uroczystości i wydarzeń; rozumiał, że tym, co liczy się w naszym życiu, jest sama podróż, a nie jej cel. Rzeczywiście, wydaje się, że częściej chodzimy na pogrzeby niż na wesela.

Peach poprosiła również Meg, by zaśpiewała na pogrzebie Howarda. Choć wygłoszenie przemowy wydawało mi się bardzo trudnym zadaniem, bladło przy tym, co miała zrobić Meg – śpiewać w obecności setek ludzi na pogrzebie ukochanego wujka. Przyjaciółki Peach sugerowały, że być może nie jest to najlepszy pomysł, ale moja żona odpowiedziała: „Nie, Meg to zrobi, i zrobi to dla swojego wujka”.

Pogrzeb przypomniał nam tylko dobitnie, jak ważną postacią w naszym życiu był Howard. Łatwo przyszło mi wymienić wszystkie jego tytuły naukowe, nagrody i osiągnięcia. Część osobista była znacznie trudniejsza. Widziałem obraz Howarda w oczach mojej rodziny. Pamiętali, jak przyleciał z drugiego końca kraju, by zobaczyć Meg jako odtwórczynię głównej roli w przedstawieniu *Piotrus Pan*. Pamiętali, jak wziął Buba pod swoje skrzydła i dał mu wzór do naśladowania o wiele lepszy od tego, który mogłem zapewnić wtedy ja. Howard w cudowny sposób łączył w sobie ogromną inteligencję z ciepłem i sposobem bycia zwykłego człowieka. Był wzorem dla moich dzieci i dla mnie.

Zdołałem wygłosić całą mowę, tylko od czasu do czasu robiąc krótkie przerwy dla uspokojenia emocji. Meg siedziała w milczeniu w pierwszym rzędzie, a po jej policzkach ciekły strumieniami łzy. Jednak gdy skończyłem i przyszła kolej na nią, wstała, otarła oczy i stanęła przed ołtarzem, by mocnym, jasnym głosem odśpiewać *Amazing Grace*. Wszyscy obecni w kaplicy byli do głębi poruszeni. *Zgubiony, nędzny byłem ja, lecz teraz cieszę się*⁸.

Peach pragnęła drugiego cudu i otrzymała go. Tyle że nie był taki, jakiego oczekiwała. Rok, który dała mi na to, bym się zrehabilitował, w dużej części już minął, a ja rzeczywiście byłem innym człowiekiem. Howard w ostatnich miesiącach swojego życia rzucił mi linę ratunkową, dał mi szansę na ocalenie samego siebie.

Dziękuję ci, Howardzie. Na zawsze pozostaniesz w naszych sercach. Bo tak naprawdę tylko to się liczy: ci, których nosisz w swoim sercu, i ci, którzy noszą w sercach ciebie.



8 Fragment pieśni *Amazing Grace* (Cudowna Boża łaska) autorstwa Johna Newtona w przekładzie Adeli Bajko.